



AGNIESZKA

HAŁAS

TROPEM

SKORPIONA

RW2010

AGNIESZKA HAŁAS
TROPEM SKORPIONA

Pierwodruk: „Science Fiction” nr 17/2002

Ukazało się w: zbiór „Między otchłanią a morzem”, Dom Wydawniczy Ares, Katowice 2004

Wydawnictwo RW2010 Poznań 2012

Redakcja techniczna: zespół RW2010

Copyright © Agnieszka Hałas 2012

Okładka Copyright © Agnieszka Hałas 2012

Aby powstała ta książka, nie wycięto ani jednego drzewa.

Dział handlowy: marketing@rw2010.pl

Zapraszamy do naszego serwisu: www.rw2010.pl

Utwór bezpłatny,
z prawem do kopiowania i powielania, w niezmienionej formie i treści,
bez zgody na czerpanie korzyści majątkowych z jego udostępniania.

*Opium, bring me forth another dream
Spawn worlds of flesh and red,
little jewels of atrocity...
(Moonspell, „Opium”)*

1. Zaczyna się od śmierci

Krętych podziemnych przejść nie rozjaśniała żadna pochodnia, żadna lampa. Karzeł ostrożnie skradał się wąskim korytarzem, na wpół zablokowanym przez zwały gruzu. Nawet bez pomocy wzroku jego stopy bezbłędnie odnajdywały drogę wśród błota i pokruszonych cegieł. Szerokie zwierzęce nozdrza rozdymały się czujnie, ilekroć unosił głowę; węszył w poszukiwaniu woni wroga, lecz jej nie znajdował. Jeszcze nie.

Po twarzy karła spływały grube krople potu, koszula z konopnego płótna była zupełnie mokra. Wypchana skórzana torba zawadzała, obijając się przy każdym kroku o nogi. W pośpiechu zapomniał skrócić pasek – poprzedni właściciel był dużo wyższy – a teraz bał się zatrzymać. W wyobraźni wciąż słyszał ujadanie psów i groźne nawoływania żołnierzy, po raz kolejny przepatrujących nadrzeczne zarośla, gdzie ścigany zniknął im z oczu, jakby się zapadł pod ziemię. Co w istocie uczynił. Uśmiezek wykrzywił wargi karła i natychmiast zgasł, gdy za ścianą rozległy się ciężkie kroki. Zabrzęczał metal. Uciekinier przypadł do ziemi, znieruchomiał, zaledwie śmiać oddychać. W sąsiednim korytarzu gromadzili się uzbrojeni ludzie, słyhać było donośne komendy. Potem wszystko ucichło; odeszli. Odczekał jeszcze trochę i wznowił marsz. Strach dodawał mu sił, lecz karzeł wiedział, że nie wystarczy ich na długo. Postanowił zaryzykować. Wiedział mniej więcej, gdzie się znajduje; przy następnym rozwidleniu zamiast kierować się na wprost skreślił w prawo, w korytarz wiodący ku powierzchni. To był błąd.

– Stój! – usłyszał znienacka za sobą. Ani myślał posłuchać. Poderwał się do desperackiego biegu.

Niebieskawy, trupi blask chlusnął z ciemności; długie cienie zatańczyły na ścianach. Karzeł nie zatrzymał się. Od tamtych dzieliło go więcej niż pięćdziesiąt kroków. Przez chwilę prawie wierzył, że zdoła uciec.

Sierzant Vaimer, zaciskając wargi, uczynił ręką przyzwalający znak. Towarzyszący mu Jednooki skinął głową. Zsunął z pleców kuszę, niespiesznie zakręcił korbą, nałożył bełt. Celował krótko. Brzęknęła cięciwa. Karzeł upadł bez jęku, rozkrzyżowując ręce; jego ciało przez chwilę drgało konwulsyjnie, potem znieruchomiało.

– Piękny strzał – pochwalił Vaimer. W okrągłym oku golema błysnęła duma.

Obaj bez pośpiechu podeszli do zabitego. W sinym świetle krew ciekąca z rany na potylicy wydawała się czarna. Vaimer odwrócił trupa twarzą do góry. Oczy były szeroko otwarte, zastygło w nich przerażenie.

Jednooki w milczeniu wskazał na coś palcem. Przy upadku zapięcie torby puściło, a jej zawartość wysypała się. Miedź, srebro, złoto, szlachetne i półszlachetne kamienie iskrzyły się wszystkimi barwami tęczy na tle brudnych płyt posadzki. Łańcuszki, bransoletki, kolczyki, ozdobne spinki i grzebienie, ale również kilka pierścieni mogących pasować wyłącznie na męską dłoń... Na twarzy sierżanta pojawił się uśmiech, pozbawiony jednak wesołości. Podejrzenia Vaimera właśnie się potwierdzały.

Dla pewności ukląkł, podniósł pierwszą z brzegu ozdobę – platynową broszę w kształcie kwiatu – i dmuchnąwszy na nią, wypowiedział cicho wyuczone przed laty słowo, jedno z tych nielicznych słów czarodziejskiego języka, które sługa srebrnych magów mógł i powinien był znać.

– Anselea! Anselea! – wykrzyknęła brosza ludzkim głosem, a następnie rozsypała się w proch. Sierzant pokiwał głową. Sprawiedliwość właśnie dosięgła jednego z tych, którzy poprzedniego dnia obrabowali wieżę Anselei ar Kel – w

niecały tydzień po śmierci właścicielki. Złodzieje bezbłędnie wybrali moment, gdy ochronne zaklęcia zaczęły tracić moc, zaś spadkobierca magini nie zdążył jeszcze spleść nowych. Obłowili się, lecz szczęście nie towarzyszyło im długo... Vaimer poskrobał się po brodzie. Anselea, szkolona na Wyspie Skorpionów, była specjalistką od klątw oraz trucizn; z polecenia Arcymistrza współpracowała z cechem Skrytobójców. Kradzież jej własności nie wróżyła niczego dobrego.

– Zapakuj z powrotem cały ten kram – rozkazał golemowi. – Wracamy do koszar. Trzeba czym prędzej złożyć raport.

Odeszli, nie zadawszy sobie trudu, żeby dokładnie obszukać zwłoki. Gdyby Vaimer o tym pomyślał, późniejsze wydarzenia potoczyłyby się inaczej. Lecz sierżant był po pierwsze zmęczony pościgiem, po drugie – myśli zaprzętało mu pytanie, kto zlecił kradzież. Zabrał torbę, ale nie obszukał ciała. I stało się to, co miało się stać.

Przedmiot przeoczony przez żołnierza Elity odkryli w kilkanaście minut później ci, którzy przyszli, by uwolnić nieboszczyka od resztek jego doczesnych dóbr. Nie znali się na czarach, nie odgadli więc, jakie jest prawdziwe przeznaczenie znalezionej rzeczy, nie wyczuli nawet śladu drzemiących w niej sił. Dla nich była to zaledwie błyskotka, niczym nieróżniąca się od setek innych; i postąpili z nią tak samo, jak ze wszystkimi błyskotkami, które od czasu do czasu zdarzało im się znajdować. Po prostu ją sprzedali.

2. Poltergeist

– **Z**a pozwoleniem, chciałbym o czymś opowiedzieć. – Niepozorny rudy człowieczek otrząsnął się i pociągnął solidny łyk z okrągłej flaszki. – Na pewno uznasz pan, że wymyślam bujdy, ale co tam, muszę się komuś wygadać. Dłużej tego wszystkiego nie zniosę!

Rozmówca pokiwał współczująco głową.

Siedzieli na plaży, tam, gdzie kończył się bulwar. Pod ołowianym niebem szare morze lizało takież piach. Kilkaset kroków dalej na portowym nadbrzeżu zaczynali się uwijać robotnicy. Po nocy spędzonej na włóczeniu się od szynku do szynku Nemachileus Drossk – dla przyjaciół Nemachi – miał pustki w kieszeniach, bolała go głowa i czuł się nad wyraz markotnie. Na ogół pijał z umiarem, folgował sobie tylko wtedy, kiedy czymś się mocno gryzł. Tak jak teraz.

Na samo wspomnienie dręczącej go sprawy poczuł łażące po krzyżu ciarki. Pociągnął szybko jeszcze jeden łyk, żeby dodać sobie ducha i naoliwić krtań.

– No, no? – Kompan poznany poprzedniego wieczoru w piwiarni „U Loutra”, od której Nemachi rozpoczął swoją odyseję, zaczął się niecierpliwić. – Dawaj moją gorzałę, mości wiewiórze, nim ją wydudlisz do dna, i opowiadaj, co masz opowiadać. Byle zajmująco.

– Wedle życzenia. – Nemachi ciężko westchnął, oddając naczynie. Zniżył dramatycznie głos. – Mam, uważasz pan, w warsztacie pokutującą duszę.

Kompan ryknął śmiechem, aż chwycił się za brzuch.

– A to dobre, brachu, naprawdę – wysapał, ocierając oczy. – I za cóż owa dusza pokutuje?

– Posłuchaj pan. Widzę, że to, co mówię, pana śmieszy. – Nemachi zaczął mówić z pijackim zaciętrzewieniem, ale w połowie zdania zmienił ton; rozczulił się, w oku zalśniła mu łza. – Ja rozumiem, że mówię rzeczy dziwne, rzecz można nawet: niewiarygodne, ale proszę sobie ze mnie nie czynić krotochwili. Naprawdę znalazłem się w tarapatach i to wcale nie jest zabawne.

– Tak, oczywiście. – Tamten zreflektował się i nawet trochę zawstydził. – Wybacz, brachu. Gadaj dalej o owej duszy. Czemuż to masz przez nią kłopoty?

– Ano... – Nemachi urwał, spostrzegłszy, że ma już dwóch słuchaczy. Ten drugi przysiadł się nie wiadomo kiedy. Krępy, łysiejący, przypominał wypasionego gryzonia. Uśmiechał się dobrodusznie pulchnymi wargami, ale jego paciorkowate

oczka spoglądały bystro i chytrze. Odzienie w prawdziwie żalonym stanie – pełne plam, dziur i łat – jednoznacznie zdradzało profesję, czy raczej jej brak.

– W porządku, nie przeszkadzajcie sobie, panowie. – Uniósł rękę. – Jest wcześnie, nudno, szedłem sobie brzegiem morza, zobaczyłem was i pomyślałem, że posłucham, o czym tak rozprawiacie. Proszę, częstujcie się. – Gestem prestidigitatora wyciągnął zza pazuchy kanciastą butelkę z czymś czerwonym. Nemachi ostrożnie spróbował trunku i uśmiechnął się. Nawet w stanie, w którym się znajdował, potrafił jeszcze docenić wyśmienitą dereniówkę, ani chybi skradzioną ze spiżarni jakiegoś mieszczanina.

– To było tak – podjął, otarłszy usta. – Zaczęło się jeszcze w połowie lata od stukania w ścianę. Mam warsztat w Podziemiach, na drugim poziomie od góry, więc takie stukanie to żadna nowość; dzień w dzień coś mi łomocze nad głową albo chrobocze pod podłogą. Toteż z początku się nie przejmowałem. Postuka, myślę, i przestanie. A tu nie. Po miesiącu zaczęło dla odmiany jęczeć. Tak jęczało, że wszystkim się od samego słuchania robiło mdło. I śmierdzieć zaczęło, uważacie, jakby zgnilizną, bagiennym plugastwem takim. Żadne wykadzanie nie pomagało. Nie zdzierzyłem, wezwałem w końcu kapłana Protheusa – wiecie, nie wierzę w bogów, ale Protheus to mój patron, więc kto miałby pomóc, jak nie on – a kapłan tylko nosem pociągnął i z miejsca mi gada, że to nieszczęśliwa dusza odbywa karę za grzechy. Dobrze, ja mu na to, tylko dlaczego akurat w moim warsztacie? Dlatego że wieciecie bezbożny żywot, mości Drossk: w świątyni nie bywacie, datków Protheusowi żałujecie, przeto i jego łaska was opuściła – tak mi odfuknął, kanalia! Mądrała w błękitnych szatach, nadęty jak świński pęcherz! – Nemachi zacisnął pięści, ale zaraz oklapł. – Wyrzuciłem go za drzwi, ma się rozumieć; i to był błąd. Nazajutrz zaczęło się na całego! Ani chwili spokoju, imaginujcie sobie. Hula diabelstwo jak po swoim – przewraca naczynia, rozlewa pożywki, łamie rusztowania; a do tego jęczy ciągle, labiedzi! I tak to się ciągnie już okrągły tydzień. Nie

podejmuję się obliczyć strat. Symbionty – towar delikatny, potrzebują spokoju i opieki; a do warsztatu teraz ani wejść. Kolejny tydzień i będę zrujnowany!

Przerwał swoją tyradę, żeby osuszyć czoło i łyknąć dereniówki. Stwierdził, że jego kompan chrapie, wyciągnięty na piasku, natomiast krępy obszarpaniec nadal słucha z uwagą.

– I co tu robić, powiedz pan? No, co robić? – Nemachi błagalnie wyciągnął rękę.

– Chyba przyjdzie rzucić wszystko w diabły, wyjechać gdzieś, zaczynać od nowa... jako partacz, znaczy – za psi grosz... suchym chlebem pewno żyć... Ciężki los!

– Ciężki, bo ciężki – przytaknął flegmatycznie obszarpaniec i też popił z butelki, po czym schował ją w zanadrze. Jego szurze ślepka błysnęły chytrze, lecz złodziej twarzy był zbyt otumaniony i rozgoryczony, żeby zwrócić na to uwagę.

– Powiedzcie no, mistrzu: co też byście dali, żeby was uwolnić od owego ducha-psuja?

– Złotem, szczerym złotem bym zapłacił! – wybuchnął Nemachi. – Nowiutkimi dukatami prosto z mennicy Najdostojniejszego! Gdybym je miał, rzecz jasna. Ale że nie mam ani złota, ani srebra, tedy i gadać nie ma o czym. – Ponuro zapatrzył się na morze.

– A duszę, jak to w bajkach, bylibyście gotowi oddać?

– Nie wierzę w istnienie duszy. Jestem tym, no... anteuszem, czy jak to się po mądrymu zwie. Protheusowi aby raz do roku laseczkę kadzidła zapalam, bo to mój pat...

– W istnienie duszy nie wierzycie? Ależ to się wyśmieniecie składa!... – Obszarpaniec zatarł ręce, a jego głos wprost ociekał teraz słodyczą. – Mój drogi Drossk, mówcie zwawo: czy bylibyście gotowi oddać swą nieistniejącą duszę... czyli wedle waszych własnych słów, nie zapłacić zupełnie nic... w zamian za uwolnienie od stwora, który przysparza wam tylu kłopotów?

– Coś pleciesz, człowieku, jak potłuczony! – Nemachi parsknął, omal się przy tym nie przewracając; dereniówka była mocna i mocno szła do głowy. – Ma się

rozumieć, że oddałbym duszę... ba, oddałbym nawet tuzin dusz takiemu mądrali, co by z owym utrapionym stukaczem zrobił porządek... lecz to jałowe gadki! Żaden zamawiacz ani egzorcysta nie zażąda ode mnie duszy. To rozsądni ludzie i żądają zapłaty w gotówce. Najlepiej z góry.

– Zdziwilibyście się, oj, zdziwili! – Obszarpaniec wyszczerzył się w szczerbatym uśmiechu. – Mało wiecie o swoim rodzinnym mieście, widzę. Chodźcie! – Wstał energicznie, otrzepał portki z piasku, po czym wyciągnął rękę, żeby pomóc Nemachiemu wstać. Złodziej twarzy zamrugął.

– Dokąd, psiak...

– Chodźcie, chodźcie, nie bójcie się. Zdaje się, że znam kogoś, kto będzie wam umiał pomóc.

* * *

W laboratoriach Elity hodowano maski w trzech barwach: srebrne, złote i perłowe. Na noszenie tych ostatnich – najdroższych – obyczaj zezwalał wyłącznie arystokratom. Srebrny kolor zarezerwowany był dla magów posiadających jakąś fizyczną skazę; Elita nie tolerowała w swoich szeregach wybrakowanych egzemplarzy. Złote maski, kosztujące ze trzy razy tyle co dobry wierzchowiec, były popularnym znakiem statusu wśród szlachty i nie tylko. Istniała jeszcze czwarta odmiana symbiotycznych powłok: maski idealnie imitujące ludzką skórę. Ich sporządzaniem nie trudnili się srebrni magowie, lecz oddzielny cech rzemieślników. Nazywano ich *ganeda-ira*, czyli – melodramatycznie i błędnie – złodzieje twarzy.

W początkach swego istnienia *ganeda-ira* byli tępieni przez Elitę z niemal taką samą zaciekłością, jak czarni magowie. Te czasy dawno minęły. Ludzie po większej części wyzbyli się przesądów, jeśli chodzi o symbionty; nad Zatoką Snów hodowanie masek traktowano jak każde inne rzemiosło. Mimo to tajemniczość pozostała nieodłączną cechą *ganeda-ira*. Strzegli sekretów swojej sztuki jak przysłowiowej źrenicy oka.

Żeby należycie urządzać swoją podziemną pracownię, Nemachileus Drossk musiał się solidnie zapożyczyć u władz cechu. Wykupił całą jedną kryptę, odnowił ją i zaopatrzył w okute drzwi. Postarał się o najlepsze wyposażenie i bardzo się starał, żeby jego wyroby nie były gorsze od tych, które sporządzali starsi, bardziej znani mistrzowie. Z czasem dorobił się stałych klientów, paru uczniów... Właśnie skończył spłacać pożyczkę, nie miał zbyt wielu oszczędności, ale za to głowę pełną planów; i nagle za sprawą głupiego ducha znalazł się na krawędzi bankructwa. Złodzieje twarzy nigdy nie lubili się zbyt z Elitą, więc poproszenie srebrnych magów o pomoc nie wchodziło w grę, zaś na usługi egzorcystów nie było go stać. Sytuacja wyglądała więc zaiste niewesoło.

Przez siedem długich dni patrzył przez kratę u dołu drzwi, jak niekarmione maski marnieją w oczach, słuchał trzeszczenia łamanych desek, potępieńczych jęków i zaciskał zęby. Teraz gotów był przystać na każdy układ – w granicach kupieckiego rozsądku, ma się rozumieć – byle wybawiono go z kłopotów. Tak mu się przynajmniej zdawało.

Stał w sieni jakiegoś starego drewnianego domu, kiwając się sennie. Nowy znajomy przyprowadził go tu i kazał czekać, po czym gdzieś znikł. Na zewnątrz turkotały wozy, pokrzykiwali przechodnie. Złodziej twarzy z westchnieniem oparł się o ścianę, zamknął oczy. Nagle ktoś pociągnął go za rękaw.

– Hej, rudy, obudź się! Staruch i kompania chcą z tobą gadać. – Dziewczyna o wyglądzie żebraczki patrzyła na niego, mrużąc oczy, niby na jakieś dziwo. Trzymała palący się kaganek; płomyk pełgał i syczał. – Zaprowadzę cię. Ostrożnie na schodach, łatwiej z nich spaść, niż po nich zejść.

Zbyt otępiały, by protestować, Nemachi powlókł się za nią. Schody istotnie okazały się niezmiernie wąskie i kręte, a w dodatku trzeba było nimi schodzić bardzo długo. Złodziej twarzy nie wiedział, co jest grane, póki w świetle kaganka nie ujrzał na wpół zatartych fresków na zagrzybionych ścianach i nie pojął, że znajduje się w Podziemiach, a co gorsza – na którymś z niższych poziomów, gdzie normalnie starał

się nie zapuszczać. Niższe poziomy Podziemi to nie było miejsce dla uczciwych obywateli. Poczul się bardzo, ale to bardzo nieswojo.

– No, jesteśmy. – Jego przewodniczka zatrzymała się przed wymalowaną na murze podobizną Maryan, Pani Wód, jednej z czterech Matek Żywiołów, opiekunki żeglarzy i muzyków. Błękitna szata Maryan dawno straciła barwę, ale pod nalotem pleśni na jej obliczu zachował się melancholijny uśmiech. Pani Wód trzymała w ręku harfę, a wokół jej stóp owinał się olbrzymi wąż o siedmiu zębatach paszczekach. Jego cielsko, niegdyś pomalowane na siedem kolorów, było teraz jednolicie szare. Dziewczyna uklękła i nacisnęła ukrytą między cegłami dźwignię. Fragment ściany drgnął i odsunął się ze zgrzytem. Z otworu zaczęła się sączyć sina poświata, a do uszu Nemachiego dobiegły odgłosy rozmowy. Złodziej twarzy wzdrygnął się i cofnął o krok, zastanawiając się, czyby nie dać dyla. Ale było za późno.

– Wchodźże, Drossk, na co czekasz? – zabrzmiał z wnętrza gderliwy starczy głos. Nemachi zaczerpnął głęboko tchu i wszedł. Przejście zatrzasnęło się za nim z hukiem, od którego zadrżał cały loch.

Pomieszczenie po drugiej stronie muru było niczym dalszy ciąg wyjątkowo złego snu. Cuchnęło tam siarką, stęchlizną i opium. Źródłem sonej poświaty okazała się wielka miedziana misa wypełniona fosforyzującą cieczą. W misie coś pływało – jakieś ciemne strzępy. Zmrużywszy oczy, Nemachi w jednym z nich rozpoznał przewiązany wstążką pukiel włosów. Na posadzce wyrysowano kredą tajemnicze symbole. Po kątach czerniały retorty i butle z podejrzaną zawartością. Pośrodku pomieszczenia znajdował się stół nakryty adamaszkowym obrusem, wyglądającym na skradziony z jakiegoś zamożnego domu. Przy stole siedziało sześć postaci, na widok których pod Nemachim ugięły się kolana. Dwóch odmieńców, od stóp do głów porośniętych sierścią; przeraźliwie chudy starzec, owinięty w coś, co przypominało całun; młoda kobieta w strojnej czerwonej sukni; obok druga, w czarnej szacie ze złotym haftem i z twarzą ukrytą za połyskującą perłowo maską;

wreszcie ktoś, kto usadowił się poza zasięgiem światła, tak że Nemachi mógł rozróżnić jedynie zarys sylwetki.

– Podobno wpadłeś w kłopoty, z których nie umiesz się wykaraskać, przyjacielu – zagaił jeden z odmieńców. Mówił gardłowo, przekręcając niektóre słowa. – Chodzi o pewnego psotnego przybysza z zaświatów, czyż nie? Możemy ci pomóc, nieźle znamy się na egzorcyzmach, ale za naszą pomoc słono się płaci. Czy jesteś gotów...

– Zaczekajcie! – Dama w perłowej masce przechyliła się przez stół, żeby dokładniej przyjrzeć się Nemachiemu. Klasnęła w dłonie. – Ależ ja go znam! Jego warsztat jest w Podziemiach, na drugim poziomie. To wszystko zmienia.

– Faktycznie – zbulgotał drugi odmieniec. Wyglądał na zawiedzionego. – Skoro tak, nie możemy wziąć tej sprawy. Podziemia to nie nasz teren.

– Jakże to? – ośmielił się wtrącić Nemachi. – Czemu? I skąd tyle o mnie wiecie? Kim wy w ogóle jesteście?!

– Cierpliwości, rudasku. – Panna w czerwieni uśmiechnęła się do niego słodko. – Bądź spokojny, wszystko się ułoży. Chłopcy zaraz się dogadają. – Mrugnęła do swojej towarzyszki.

– Zgodnie z umową, Podziemia to twoja działka, Keare – odezwał się starzec, trącając w bok tego, który siedział poza zasięgiem światła. Ów wzruszył ramionami.

– Może i tak, ale ja nie przyjmuję zapłaty w duszach, a od niego niczego lepszego nie dostanę. Bierzcie go sobie, jeśli chcecie, ustępuję wam miejsca.

Dama w masce wzięła leżącą na stole talię kart, przetasowała je trzykrotnie, po czym wybrała siódmą od dołu.

– One uważają, że powinieneś wziąć tę robotę – powiedziała, uśmiechając się lekko. – Może jednak zmienisz zdanie?...

– Pokaż. – Mężczyzna wziął od niej karty, powtórzył rytuał z tasowaniem i wybieraniem. Gwizdnął przez zęby. – Proszę, proszę. Kto by pomyślał?... – Uniósł głowę; sina poświata na moment odbiła się w zmrużonych oczach pod strzechą ciemnych włosów. – Słuchaj no, rudy! Chyba jednak rzucę okiem na tę twoją

stukającą zmore. Drugi poziom od góry, tak powiedziałeś? Przyjdę jutro około północy. Czekać na mnie pod drzwiami; sam. Pamiętaj! Sam, Drossk. Inaczej nie będę mógł ci pomóc. A teraz zmykaj do domu, nic tu po tobie.

* * *

W wyłożonym granitowymi płytami korytarzu było cicho jak w kostnicy. Ani żywej duszy, nawet szczury gdzieś się pochowały. Tylko woda wolno, wolniutko kapłała ze sklepienia. Mokry mur pokrywały plamy fosforyzującego mchu. Nemachi schylił się, żeby obejrzeć je z bliska. Pokręcił z niezadowoleniem głową. Tydzień wcześniej na kamieniach nie rosła ani odrobina tego śliskiego obrzydlistwa, a i wilgoci było mniej. *Wszystko tu gnije, rozpada się*, pomyślał z nagłą rozpaczą. *Czemuż nie urządziłem sobie warsztatu na powierzchni? Drożej, bo drożej, ale o ileż wygodniej, bezpieczniej, zdrowiej... Tylko upiory mogą się czuć dobrze w takim miejscu jak to! Ech, rudy, dureń z ciebie, ani słowa...*

– Dobry wieczór – przemówił ktoś tuż obok. – Nemachileus Drossk, jeśli dobrze pamiętam personalia?

– Owszem, tak mnie nazywają – odparł szorstko złodziej twarzy, odsuwając się pospiesznie na tyle, na ile pozwalały grzeczność i wąska przestrzeń korytarza. – A kto pyta?

– Mów mi Keare.

Przybysz był średniego wzrostu, szczupły, ubrany na czarno. Twarz niknęła w cieniu zsuniętego na czoło kaptura. Nemachi ukradkiem obejrzał się przez ramię; byli sami. Poczul wzdłuż kręgosłupa nieprzyjemny chłód, ale postanowił nie okazywać strachu. Przybrał hardą minę.

– Keare, czyli kto? Coś za jeden?

– Ktoś, kto zna się na wypędzaniu duchów. Między innymi. Rozmawialiśmy wczoraj, nie pamiętasz, Drossk? Musisz pamiętać, skoro się zjawiłeś. Jakże się miewa twój poltergeist?

– Polty... co?

– Duch, który łomocze w ściany i ciska gratami. Jeszcze nie poszukał sobie innej siedziby?

– Ano, nie – burknął złodziej twarzy. – Przestał łomotać, ale wciąż jest tam, gdzie był. Widać spodobało mu się, gadowi, w moim warsztacie...

– Znaczy, za tamtymi pancernymi drzwiami? – Czarno ubrany zsunął kaptur, przeczesał palcami zmierzwione ciemne włosy. – Masz do nich klucz?

Nemachi nie odpowiedział. Ręce tak mu zaczęły drżeć, że mało brakowało, aby oblał się płonąca oliwą. Rozpoznał nareszcie, z kim ma do czynienia.

– Nie wygłupiaj się, Drossk! – Brune Keare, bardziej znany jako Krzyczący w Ciemności, bezceremonialnie zabrał rudzielcowi latarnię. – Zamknij usta, bo nałykasz się nietoperzy. I czego tak się boisz? Stała ci się wczoraj u nas krzywda? Nie? Więc przestań się trząść, do cholery!

Wciąż dygocząc, Nemachi mechanicznie wyjął klucze i – po kilku nieudanych próbach – zdołał odemknąć drzwi. *Mogłem się wcześniej domyślić*, kołatało mu w głowie. *Mogłem zgadnąć, że to on. Któż by inny?*

Krzyczący w Ciemności – *ka-ira*, skażony talent, zmij – zdolny, bezczelny, drwiący sobie ze srebrnych magów, którzy od lat na próżno usiłowali go dopaść. Miał kryjówkę gdzieś w Podziemiach; fama głosiła, że musi unikać dziennego światła. Trzy białe szramy na policzku, wymieniane w listach gończych, przesłaniał iluzjami – z jakiegoś powodu nie lubił symbiotycznych powłok. *Ganeda-ira* szeptali, że to poza; że ta przekreślona twarz ulicznika jest w rzeczywistości maską, pod która skrywa się potwór rodem z sennych koszmarów. Zabawiał się nekromancją, przyjaźnił z odmieńcami, podejrzewano go o różne fantastyczne zbrodnie. Bez wątplenia był szalony. Był również bardzo utalentowany. Ta myśl sprawiła, że Nemachi przestał dygotać.

Nadstawił ucha. Było cicho; złośliwa siła na razie nie dawała o sobie znać. Rudzielec ostrożnie przestąpił próg swojej pracowni, krzywiąc się na widok

zniszczeń. Większość gotowych masek obumarła z braku pożywienia, przemieniając się w śmierdzącą żółtą masę. Te, które ocalały, zwisały smętnie z połamanych rusztowań. Wielkie kałuże odżywczego płynu stężały na posadzce w śliską galarete. W brudnych kadziach kiełkowała pleśń. Żmij właśnie oglądał najdalszy kąt pomieszczenia, gdzie niegdyś stały szafy z naczyniami, a teraz piętrzyły się sterty potłuczonego szkła. Pionowe źrenice – znamię *ka-ira* – połyskiwały, ilekroć podnosił jakiś odłamek, żeby przyjrzeć się mu z bliska. Przypominał psa myśliwskiego, który węszy w poszukiwaniu tropów. Niepotrzebnie się trudził, bo zwierzyna wcale nie zamierzała się kryć przed myśliwym.

Latarnia nieoczekiwanie zamigotała i zgasła.

– Zaczyna się – jęknął Nemachi.

Lodowaty, cuchnący bagniskiem powiew dmuchnął im w twarze, a spod posadzki dobyło się głośnie mlaskanie. Któreś z rusztowań zawaliło się z trzaskiem.

W mroku zamigotał ogieniek. Nemachi osłupiał, czując charakterystyczny słodki zapach.

– Poltergeisty to paskudne, złośliwe stwory, a przy tym stosunkowo silne – powiedział żmij takim tonem, jakby mówił o pogodzie. – Penetrowanie ich jaźni sprawia ból. Na szczęście opium pomaga na to. – Spokojnie wypalił do końca lufkę, nie zwracając uwagi na upiorne odgłosy ani na smród, nasilający się z minuty na minutę. Wtem z kąta zabrzmiało stukanie; kilka donośnych uderzeń, przerwa, i od nowa to samo.

– Niecierpliwi się – skomentował Krzyżący w Ciemności. – Poczekajmy jeszcze chwilę. Nic się nie bój, Drossk. Będzie dobrze.

Stukanie urwało się. Pomieszczenie rozświetlał coraz silniejszy zielononiebieski blask. Przez szczeliny w posadzce zaczęła się przelewać pienista, fosforyzująca malachitowo substancja. Nemachi spojrział w dół i przełknął ślinę widząc, że stoi zanurzony w niej po kostki. Krzyżący w Ciemności zaczął cicho recytować zaklęcia.

– Na Abrac, Abeorr i Aberr! Co ty sobie wyobrażasz?– zawołał w końcu, jakby karciał niesforne dziecko. – Ukaż się i bądź posłuszny!

W odpowiedzi rozległ się rechot. Zaraz potem potężny podmuch sprawił, że żmij zachwiał się i omal nie upadł. Ciężki gar z pożywką uniósł się w powietrze, przeleciał, wirując, przez całą kryptę i wyrznął z impetem w ścianę, rozchlapując zawartość. Nemachi wrzasnął i przypadł do ziemi. Młynkujący kawał drewna minął jego głowę o nie więcej niż półtora cala.

W rogu warsztatu uformował się świszczący powietrzny wir. Rósł szybko, wsysając z posadzki drzazgi i okruchy szkła.

– Efektowne – ocenił Krzyczący. – Choć znałem umarłych, którzy mieli więcej fantazji.

Wyjął sztylet, przymierzył się i zniemacka cisnął nim w sam środek wiru. W jednej chwili zapanował spokój. Wiatr ucichł, a świecąca maź zniknęła. Latarnia ponownie zajarzyła się równym płomieniem.

Żmij odszukał swój sztylet i pokazał Nemachiemu ostrze zbroczone krwią.

– To znak, że rzeczywiście mieliśmy do czynienia z duchem zmarłego, nie z jakimś przybyszem z innej sfery – wyjaśnił. – Za życia nasz poltergeist był, jak sądzę, przestępcą; zginął gwałtowną śmiercią i nie może odejść w zaświaty, bo przelana krew wiąże go z ziemią. Ciało trzeba pewnie szukać poziom niżej. Gdy je znajdę, będę mógł powiedzieć więcej. W każdym razie tu już nie będzie bruździł.

– Dziękuję – wymamrotał złodziej twarzy, który pomału odzyskiwał rumieńce.
– Nie rozumiem tylko, czemu przeklętnik pokutował akurat u mnie? W moim warsztacie nigdy nie dokonano żadnego przestępstwa! Jestem uczciwym rzemieślnikiem!

– Nie wątpię. – Krzyczący uśmiechnął się. – Duch straszył, żeby zwrócić na siebie uwagę; to nie ma nic wspólnego z pokutą. Nie ty jeden się na niego skarżyłeś. Rozrabiał po różnych zakątkach na trzech górnych poziomach, paru ludziom nieźle

dał się we znaki. Aż dziwne, że srebrni się nim nie zajęli. Być może uznali, że jego obecność korzystnie wpływa na Ekwilibrium.

– Na co?

– Na równowagę magicznych prądów, równowagę Zmroczy. Nieważne, nie musisz sobie tym zaprzętać głowy. – Starannie oczyszczony sztylet zniknął w fałdach czarnego płaszcza. Żmij skierował się do wyjścia.

– Dokąd idziesz? – zawołał rudzielec.

– Poziom niżej, poszukać zwłok. Trzeba zrobić z łobuzem porządek raz na zawsze. Ty możesz już o wszystkim zapomnieć, Drossk, i zacząć się zastanawiać, jak uprzątnąć ten cały bałagan. Powodzenia.

Nemachi dogonił go na korytarzu. Nadal był blady, ale miał dziwnie zawziętą minę.

– Zaczekaj, magu – wydyszał. – Idę z tobą!

– Po jaką zarazę? – Krzyczący w Ciemności uniósł brwi. – Jeszcze ci mało kłopotów?

– Tak trudno zgadnąć?! – Złodziej twarzy zacisnął pięści. – Sam widziałeś, Keare, ilem się wycierpiał przez tego śmierdzącego drania, pole... pot... poltyrgizda! Chcę teraz popatrzeć, jak go wykańczasz. Choć tyle mi się, psiakrew, należy!

Żmij popatrzył na niego uważnie.

– W porządku – zdecydował. – Możesz się przydać. Weź latarnię.

Poziom niżej zalegały gruzy. Mnóstwo gruzów i błota. A w tym błocie widniały odcisnięte charakterystyczne głębokie tropy golemów. Żmij przyglądał się im długo, marszcząc czoło. Zaczął kluczyć wśród zwalisk; krążył, zawracał, mamrotał pod nosem, kreśląc sztyletem znaki w powietrzu. Nagle zatrzymał się.

– Jest – stwierdził beznamiętnie.

– Gdzie?

– Tam.

Kamienie pod ścianą były w jednym miejscu zbryzgane czymś brunatnym. Żmij pochylił się, żeby podnieść niewielki przedmiot. Stalowy grot, częściowo pokryty rdzą.

– Padlinożerne homunkulusy zadbały, żeby nic więcej nie zostało. Te zarazy wleżą wszędzie i zeżrą nawet kości. No nic, to, co znalazłem, powinno wystarczyć. Posłuchaj uważnie, Drossk. Wezwę teraz ducha, żeby odpowiedział na kilka pytań, a potem wyślę go w zaświaty, gdzie jego miejsce. Nie mam siły na materializację, więc nic ciekawego nie zobaczysz. Gdybym stracił przytomność, posmaruj mi tym usta. – Żmij wyciągnął z kieszeni fiolkę z ciemnego szkła. – Jeśli się nie ocknę, uciekaj. Gotów?

Złodziej twarzy przytaknął. Czarna magia zaczynała mu się podobać.

* * *

Kontury świata rozmyły się, a potem zniknęły. Unosił się. Szybował. Naokoło rozpościerała się szarość, zimna jak głęboka woda.

To była strefa pogranicza – przedsiemek zaświatów. Zaludniały ją przede wszystkim duchy umarłych, którzy za życia nie splamili się żadnym ciężkim przewinieniem, ale też nie zasłużyli na to, by wznieść się ku wyższym, świetlistym sferom niebios. Szary obszar na krótko stawał się ich schronieniem – zawisali tam, o wyciągnięcie ręki od materialnego świata, z zazdrością obserwując żywych i płatając im od czasu do czasu złośliwe figle – aż w końcu nieuchronnie rozplýwali się w nicość.

Nieliczni mogli przetrwać w szarości dłużej – ci, którzy nie zerwali całkowicie więzi łączących ich z ziemskim życiem, gdyż nie doprowadzili tam do końca jakiejś ważnej sprawy. Im kapryśna Zmroczka pozwalała na jakiś czas zachować siły. Zwykle za wszelką cenę usiłowali powrócić na ziemię i nawiązać kontakt z żywymi. Kiedy im się udawało, w stosunku do takich zjaw egzorcyzmy z reguły zawodziły.

Najlepszym sposobem na zapewnienie spokoju obu stronom było dowiedzenie się, czego umarły żąda, a następnie spełnienie jego prośby.

Żmij dość długo dryfował przez posępne, mgliste przestrzenie, gdzie nie paliło się ani jedno światło i nie rozbrzmiewał żaden dźwięk. Od czasu do czasu na granicy pola widzenia przepływały niewyraźne sylwetki umarłych. W milczeniu obserwowali intruza. Krzyżący w Ciemności nie zwracał na nich uwagi. Czekał, aż pojawi się ta właściwa osoba.

Doczekał się.

– Hej, *ka-ira!* – Ponury głos z plebejskim akcentem. W szarości zamajaczyła nieduża postać. Karzeł?... – O mnie ci chodzi?

– Kim jesteś?

Zamiast odpowiedzi poczuł uderzenie – cios niewidzialnej pięści. Daleko w dole, w materialnym świecie Nemachi ujrzał, jak twarz żmija wykrzywia grymas bólu, a z nosa zaczyna mu kapać krew.

– To za to, żeś we mnie majchrem rzucił – warknął duch.

Krzyżący postanowił nie dać się sprowokować.

– Sameś sobie winien. Po jakie lichy narobiłeś szkód temu biednemu człowieczkowi? Po co w ogóle pojawiaasz się na ziemi? Tak nudno ci w zaświatach?

– Naprawdę chcesz to wiedzieć, *ka-ira?* Nie ma sprawy, powiem! – Umarły zaniósł się śmiechem, od którego mniej zahartowanemu słuchaczowi zrobiłoby się zimno. – Powiem wszystko. Ale wpierw przyrzekniesz mi jedną rzecz.

– Nie z góry. Mów, co masz mówić, a potem się zobaczy. Czemu nie odnalazłeś po śmierci spokoju? Co cię dręczy?

Umarły zaśmiał się raz jeszcze. Głucho, paskudnie.

A potem zaczął opowiadać...

* * *

Z półtora tygodnia przed owym rankiem, kiedy w Shan Vaola podpity Nemachi zwierzał się dwóm słuchaczom ze swoich kłopotów, na innej podmiejskiej plaży miało miejsce niecodzienne zdarzenie. O rzut kamieniem od murów Yever Laren bawiące się dzieci natrafiły na zwłoki mężczyzny, który rozstał się z życiem najdalej przed godziną. Nieopodal na wilgotnym piasku znaleziono ślady pasujące do jego butów. Wszystko wskazywało, że idąc brzegiem morza, zasłabł, upadł i utonął w wodzie niesięgającej mu nawet do kolan. Już przy pobieżnych oględzinach rzucało się w oczy niezwykle wychudzenie denata, jak również dziwaczne fioletowe ślady wokół ust i na szyi. Gdyby chodziło o jakiegoś biedaka, spalono by jego ciało i na tym sprawa by się zakończyła; lecz ten człowiek miał na sobie odzienie zdobione brokatem i koronkami... Sprowadzono medyka, który przeprowadził sekcję. Protokół z niej już nazajutrz znalazł się wśród rozlicznych pism i raportów, które codziennie przeglądał dostojny mistrz Vandemus ar Isling, Opiekun Yever Laren.

– Fioletowe znamiona, jak od użądleń jadowitego owada – wymruczał Vandemus, gładząc w zadumie brodę. – Dlaczego nie jestem zaskoczony?

I wezwał swoją akolitkę Kalei ar Shiath.

Kalei zgodziła się z jego podejrzeniami. Zdziwiła się jednak, kiedy rozkazał wziąć pod obserwację pewien osławiony dom w dzielnicy rozpusty.

– Będziemy drażyć tę sprawę? Przecież wiadomo, że nie może być mowy o morderstwie. Mieliśmy już podobne przypadki i zdecydowaliśmy, że niepodobna stawiać tamtej... istocie... zarzutów; nie jest winna, że Zmrocza stworzyła ją właśnie taką...

– Nie, Kalei. Tym razem chodzi o coś więcej niżli martwego grzesznika, który dał się zanadto ponieść swoim skrzywionym apetytom. Pamiętasz skrzydlatego posłańca, który przybył z Shan Vaola miesiąc temu? – Kalei zamrugnęła; skrzydlaci posłańcy przybywali do Vandemusa nie rzadziej niż dwa razy w tygodniu. – Wiadomość, którą przyniósł, w nieprzyjemny sposób wydaje się wiązać z tą śmiercią,

i nie wygląda mi to na zbieg okoliczności. Po śmierci skrytobójczyni Anselei ar Kel okradziono jej siedzibę i nie wszystkie kosztowności udało się odzyskać. Stawiam moją różdżkę przeciwko suchej gałęzi, że czujność się opłaci. Wydadz rozkazy Jednookim.

* * *

Ocknął się, oddychając z trudem, niepewny, ile czasu minęło. Wciąż ścisnął w dłoni zardzewiały grot. W ustach czuł znajomą, piekącą gorycz. Wilcza lilia – cudowne ziele, mające moc przerywania wszelkich transów – po raz kolejny ocaliła go od obłąkania.

– Wyglądasz okropnie – stwierdził Nemachi, oddając fiolkę. – Jakbyś sam stał jedną nogą w grobie. Przestałeś na chwilę oddychać, wiesz? Bałem się, że... Warto było chociaż?

– Owszem – wykrztusił żmij. Wspomnienie odbytej dopiero co rozmowy płonęło w jego umyśle tak boleśnie, że żadna ilość narkotyków nie byłaby w stanie go przytłumić.

– No i pięknie. – Nemachi, nieświadom niczego, przytupywał dziarsko, dygocząc mimo podbitego futrem kubraka. – Brr, mam dość sterczenia w tej dziurze, zmarłem jak pies! Chodź, przyjacielu. – Poufale ujął żmija pod ramię. – Nie można żyć samym opium i zaklęciami. Co powiesz na kufel grzańca?

Na powierzchni lał deszcz, a Zatoka Snów ginęła za zasłoną mgły. Ilekroć porywisty wiatr nieco przycichał, ponad wodą dawało się słyszeć odległe bicie dzwonów. Na Wyspie Salamander srebrni magowie odprawiali obrzędy związane z powitaniem jesieni.

Karczma – jedna z wielu w portowej dzielnicy – z daleka wabiła przyjaznym żółtym światłem, sączącym się z otwartych mimo chłodu drzwi. Na progu trząsł się jakiś pijaczyna bez czapki. W środku – pustki. Siedli za przepierzeniem, w czystszej,

przeznaczonej dla kupiectwa izbie. Karczmarz zrazu patrzył podejrzliwie, ale przekonawszy się, że mają czym zapłacić, rozpogodził się.

Dostali gorące piwo, a do piwa ostry ser oraz obwarzanki z cebulą, świeżo wyjęte z pieca. Piwo przyprawiono imbirem i goździkami. Rudzielec poweselał. Nawet na ziemistej twarzy zmija pojawił się nieznaczny rumieniec. Nemachi zauważył, że szramy na policzku Krzyżącego nie wiedzieć kiedy zastąpiła brunatna plama dużego znamienia.

W izbie było ciepło, szybki w oknach zapotniały. Ubrania schły szybko. Na zewnątrz jednostajnie szumiała ulewa. Nemachi oparł głowę na rękach; po nieprzespanej nocy morzył go sen. Krzyżący przetarł stół, wyjął z kieszeni nieodłączne karty i zaczął je tasować.

– Na dniach będę miał do ciebie prośbę – rzucił ni stąd, ni zowąd, nie podnosząc wzroku. – W ramach wymiany przysług sporządzisz mi maskę. Powiem ci, jak ma wyglądać.

Złodziej twarzy otworzył jedno oko i spojrzał ze zdziwieniem.

– Sądziłem, że nie cierpisz symbiontów.

– Dobrze sądziłeś. Cóż, będę się musiał przemóc. Z bliska spostrzegawcze oko jest w stanie przeniknąć iluzję. Potrzebuję czegoś pewniejszego. Te cholerne blizny są jak pieczęć. Za dużo ludzi o nich słyszało.

– Zaraz, zaraz. – Rudzielec zupełnie otrząsnął się ze snu. Oczy mu się zaiskrzyły. – Niech zgadnę. Szykujesz jakąś większą drakę, magu? Co?

– Może. – Ton zmija jasno dawał do zrozumienia, że dalsze pytania nie będą mile widziane, ale Nemachi nie rezygnował.

– Co z owym, jak mu tam, polte... poterglizdą? Nie wróci już?

– Nie... o ile coś dla niego zrobię. Mniejsza z tym. W każdym razie w Podziemiach nikt go więcej nie ujrzy ani nie usłyszy, masz na to moje słowo.

– Ta wasza... rozmowa... długo trwała. Co jeszcze ci powiedział?

– Kilka ciekawych rzeczy, wartych sprawdzenia. – Krzyczący w Ciemności w zadumie przekładał karty. – Co wiesz o niejkiej Anselei ar Kel?

– Niewiele. Była czarodziejką. Rezydowała w wieży na wzgórzu, parę mil za miastem. Zmarła jakoś tak na początku lata. W tydzień później paru zuchów włamało się do jej siedziby. Czemu pytasz?

– Miałeś coś wspólnego z tą sprawą?

– Ja? A gdzie tam! Maski na nic by się złodziejom nie przydały. Symbionty nie zmylą Jednookich...

– Jak się skończyło przedsięwzięcie? Żołnierze Elity złapali winnych?

– A jakże. Złapali i zabili. Już następnego dnia, jeśli dobrze pamiętam.

– Skuteczni jak zawsze, co? – Żmij wybrał na chybił trafił kartę. As monet. Potarł czoło. – Powiedz, a jak z łupami? Wszystko odzyskano?

– Ejże, nie jestem wszechwiedzący. Pogłoski nie bywają aż tak szczegółowe. Ale skoro srebrni dopadli złodziei nazajutrz po kradzieży...

– Jeden dzień to nie tak znów mało. – Krzyczący w Ciemności rozejrzał się, sprawdzając, czy są sami. Zniżył głos. – Sęk w tym, że zdaniem poltergeista srebrni stracili z oczu pewien drobiazg. Cenny drobiazg. I niebezpieczny, bardzo niebezpieczny.

Rudzielec miał sceptyczną minę.

– Czyżby? Słyszałem, że umarłym nie należy ufać.

– Na dłuższą metę nikomu nie należy ufać, Drossk. Ale tym razem zaryzykuję. Czuję w kościach, że warto.

Nemachi nie próbował się dopytywać o szczegóły. Wzruszył ramionami i ukroił sobie jeszcze sera.

– Jeśli chcesz znać moje zdanie, cała ta historia śmierdzi – mruknął półgębkiem, żując. – Śmierdziała od samego początku.

– Obawiam się, że to właśnie czyni ją ciekawą. No, czas na mnie. Bywaj, rudy. – Żmij schował karty do kieszeni, dopił zawartość kufła i wyszedł we mgłę.

3. Liserel

O zmierzchu nad Yever Laren nadpłynął z zachodu kolosalny wał postrzępionych chmur. Od jego krawędzi spływały w dół migoczące wstęgi turkusowego i różowego ognia. Cały nieboskłon pokrył się różnobarwnymi refleksami, przy których gwiazdy bladły, a księżyc wydawał się szary.

Przechodnie nie zwracali szczególnej uwagi na ten spektakl. W Yever Laren – mieście najdalej wysuniętym na wschód spośród pięciu wielkich miast nad Zatoką Snów – równowaga Zmrocy często ulegała delikatnemu zachwianiu, czego objawem były między innymi przedziwne zjawiska atmosferyczne.

Na horyzoncie w tęzowe niebo wgrzyzały się drapieźnie czarne wieże Wyspy Skorpionów. Mieszkańcy Yever Laren unikali spoglądania w stronę tego miejsca, gdzie Elita szkoliła swych żołnierzy i skrytobójców. Bractwo srebrnego pentagramu od lat sprawowało faktycznie władzę w mieście, Najjaśniejszy znajdował się całkowicie pod ich wpływem; ludzie przyzwyczaili się do oglądania na ulicy golemów, hybryd, latających powozów, oswojonych gryfów i harpii... ale pewna doza nieufności pozostała.

Zmyte deszczem trotuary mimo wieczornej pory tętniły życiem. Spacerujący mieszczanie zwlekali z udaniem się do domów, rozkoszując się rześkim powietrzem; podejrzane towarzystwo wpełzało pomału ze swych nor na przedmieściach; pod arkadami wokół rynku zaroilo się od prostytutek.

Mężczyzna w kaftanie koloru żurawin wysiadł z dorożki u wylotu niewielkiej uliczki, względnie pustej i cichej. Przeładowane kruszącymi się ornamentami budynki – niegdysiejszy triumf nowobogackości nad rozsądkiem – były tak zaniedbane, że sprawiały przygnębiające wrażenie. Nad każdą z bram żarzyła się czerwona latarnia, czasem kilka; mokry bruk płonął od odbłasków.

Dorożka odjechała. Mężczyzna wolno podszedł pod kamienicę, której fasadę zdobiły poplątane girlandy rzeźbionego kwiecica. Garbił się i powłóczył nogami jak człowiek ciężko chory.

Odźwiernych było dwóch, odzianych w liberie z liliowego aksamitu. Wprawnie otaksowali wzrokiem przybysza. Jego modne ubranie było wymięte i poplamione. Na szyi oraz na nieogolonej, pobladłej twarzy widniały symetrycznie rozmieszczone fioletowe znaki. Odźwierni skrzyżowali porozumiewawcze spojrzenia.

– Do Liserel? – spytał jeden; przez jego usta przewinał się ledwie zauważalny, drwiący uśmiech.

– Tak – potwierdził ochryple przybysz. – Byle szybko.

– Najpierw zapłać. Trzy sztuki złota za godzinę.

– Pamiętam. – Żurawinowy drżącą ręką wygrzebał z sakiewki żadaną sumę. Po chwili, pokaszując, wspinał się szerokimi marmurowymi schodami.

W wystroju willi Liserel dominowały kotary barwy fuksji oraz obrazy pędzla nieznanymi mistrzów, przedstawiające dziwaczne roślinno-zwierzęce kształty na tle jarzących się nieziemskimi odcieniami krajobrazów. Zza zamkniętych drzwi dobiegały dźwięki cytr i kastanietów, czasem namiętne westchnienia. Bładoskórzy służący w milczeniu wskazywali drogę.

Pierwszym, co uderzało po wejściu do komnaty Liserel, był zapach. Niesamowity, oszołamiający, miodowy, przywodzący na myśl noc w egzotycznym ogrodzie. Przyćmione światło sączyło się spomiędzy zsuniętych zasłon za plecami pólężącej na szerokim łożu postaci. Na ścianie drgał delikatnie cień olbrzymich nietoperzowych skrzydeł.

– Witaj, ukochany. – Ciepły, mrużący alt. – Podejdź bliżej, nie obawiaj się.

Jej ciało przypominało alabaster – tak białe, że przeświecało przez ciemną jedwabną szatę, którą była spowita. Szata miała na wysokości pępka rozcięcie, z którego wychylało się sześć szkarłatnych kwiatów na giętkich łodyżkach. Kwiaty wyrastały wprost z żywego ciała Liserel. Nie koniec na tym. Jej lewe ramię kończyło

się pękiem długich macek. Wizerunku dopełniała delikatna dziewczęca buzia, w której płonęły olbrzymie koralowe oczy. Oczy te nie miały w sobie nic, ale to nic ludzkiego.

Egzystencją Liserel – hybrydy stworzonej ongi przez eksperymentujących czarodziejów – rządził głód. Nigdy niedający się nasycić, bez względu na to, ilu klientów przewijało się przez jej wysłane adamaszkami łoże. Dotknięciem szkarłatnych płatków ofiarowywała im rozkosz silniejszą od wszystkiego, co mogli przeżyć gdzie indziej, a kiedy tracili przytomność,ssała z nich krew i siłę życiową. Nie do ostatka; nie była bezrozumnym drapieżcą, umiała powściągać apetyt. Jedna, a nawet kilka wizyt nie wywoływało u ofiar żadnych skutków poza przemijającym osłabieniem. Oficjalnie to dlatego srebrni magowie tolerowali Liserel w swoim mieście, oświadczając, że nie stanowi zagrożenia. W każdym razie – nie większego niżli opium, haszysz, *utalhixtal*, królewskie grzyby i wszystkie pozostałe specyfiki, którymi otwarcie handlowano na ulicach w tej dobie powszechnego upadku obyczajów.

Tak naprawdę czarodzieje bali się konfliktu z Liserel. Była starsza, niż wskazywał jej wygląd, pozbawiona skrupułów, kapryśna i nieobliczalna; prawdziwe dziecko mroku. Nikt rozsądny nie wchodził jej w drogę.

– Blżej – powtórzyła z uśmiechem, patrząc na swojego gościa. Kwiaty zakołysały się łakomie. Mężczyzna w żurawinowym kaftanie usłuchał, stąpając sztywno jak zahipnotyzowany. Oddychał ciężko. Łodygi kwiatów wyciągnęły się...

...po to, żeby natychmiast się cofnąć. Liserel poczerwieniała z oburzenia.

– Oszust! – wykrzyknęła. – Jak śmiałeś! Sądziłeś, że się nie zorientuję? Miałeś mnie za ślepą?! Zdejmij to zaraz!

– Proszę o wybaczenie. – Gość westchnął. – Powinienem był przewidzieć, że Liserel nie da się zwieść symbiontom.

Uniósł ręce i jego blade oblicze ni to spłynęło, ni to złuszczyło się, odsłaniając śniadą twarz z policzkiem przeciętym bliznami.

– Skażony mag – wycedziła Liserel. – Powinnam cię pożreć! Co ma znaczyć ten żaloszny podstęp?

– Wolałabyś, pani, żeby całe Yever Laren plotkowało jutro o twoich konszachtach z *ka-ira*? Ja nie. Nie przyszedłem bez powodu. Musimy porozmawiać.

– Jestem praworządną obywatelką, zmiju. Podaj mi jeden powód, dla którego miałabym zwlekać z wezwaniem straży i wydaniem cię w ich ręce. Spiesz się!

– Proszę bardzo. Grozi ci niebezpieczeństwo, pani. Jakieś dwa, może trzy tygodnie temu pojawił się u ciebie klient, któremu zabrakło funduszy, więc zamiast złota ofiarował kunsztowną ozdobę. Medalion w kształcie skorpiona, wykonany ze stopu platyny z księżycowym metalem; oryginalna i cenna rzecz. Medalion ten należał wcześniej do magini Elity. Został skradziony po jej śmierci. Srebrni zawzięcie go teraz szukają, a jeśli znajdą, nie potraktują łagodnie nowego właściciela.

– Nie przyszedłeś tu, żeby mnie ostrzegać. Pozwolę sobie zgadnąć: ty również szukasz medalionu? – Liserel uśmiechnęła się ironicznie. – Nie po to, żeby wyświadczyć przysługę Elicie, co?

– Nie – przyznał spokojnie. – Potrzebuję go do własnych celów.

– Powiedz mi, czemu sądzisz, że jest w moim posiadaniu?

– Był jeszcze wczoraj. Żywiołak ziemi, który strzeże twojej siedziby, potwierdził to. – Tym razem to zmij posłał rozmówczynie uśmiech. Szkarłatne kwiaty zasyczały, zirytowane. – Bądź rozsądna, pani. To cacko jest groźne jak prawdziwy skorpion. Elita go szuka. Z jakiegoś powodu mają trudności, ale prędzej czy później wpadną na ślad. Radzę się pozbyć medalionu – dla twego dobra.

– A ty skorzystałbyś przy okazji... jakże cię zwa?

– Krzyczący w Ciemności.

– Nic mi to nie mówi. Nie jesteś z Yever Laren, co?

– Z Shan Vaola.

– Kawalek drogi.

– Nie dla maga. Przestrzeń nie stanowi dla nas problemu; z podróżowaniem w czasie byłoby gorzej. – Znów się uśmiechnął. – Skoro o czasie mowa, nie mam go za wiele. Moje nagłe przybycie do miasta spowodowało całkiem ładne zawirowania w Zmroczy. Efekty widać nad dachami. – Liserel odruchowo zerknęła w kierunku okna. Przez szparę między zasłonami wciąż jeszcze było widać pulsujące na niebie kolorowe pręgi. – Srebrni pewnie już zorientowali się, co naruszyło Ekwilibrium. Zanim przyślą tu patrol, czy mogę liczyć, że dostanę...?

– Nie boję się Elity. – Liserel wzruszyła ramionami. – Nie widzę powodu, dla którego miałabym ci oddawać medalion, chociaż powiem szczerze, że nie jest mi potrzebny do szczęścia; mam ładniejsze zabawki. Możemy co najwyżej dobić targu. Masz coś do zaoferowania w zamian za skorpiona?

– Pokaż go. Wtedy zabawimy się w handlarzy.

Przez chwilę mierzyli się wzrokiem; koralowe oczy przeciwko burym. Liserel pierwsza spuściła wzrok.

– Zgoda.

Wyszła, poruszając się z bezszelestną gracją węża, a po chwili wróciła, niosąc pozłacaną szkatułkę.

– Otwórz – zachęciła.

– Nie. Ty to zrób, pani.

– Nie znasz zaklęcia, które sprawdziłoby, czy to pułapka? – zadrwiła, ale usłuchała.

Krzyczący w Ciemności w zadumie popatrzył na wizerunek skorpiona odlany z zielonkawego, łagodnie połyskującego stopu. Nie musiał sprawdzać, czy rzecz jest autentyczna. Pokiereszowany policzek boleśnie mrowił, rozpraszając wątpliwości.

– Zadowolony z oględzin? Teraz kolej na ciebie. Co możesz mi dać w zamian za klejnot, który nosiła na szyi Mistrzyni Elity, żmiju?

Raz jeszcze zignorował jawną kpinę w jej głosie.

– Coś co najmniej równie cennego. Jakżeby inaczej? Patrz uważnie, pani.

Uniósł złożone dłonie i wolno je rozchylił. Liserel wstrzymała oddech. Choć chwilę wcześniej miał puste ręce, teraz trzymał w nich kwiat. Podobny do piwonii, lecz o błękitnych liściach i płatkach koloru nocy.

– Siódmy do twojej kolekcji. Jego woń nie sprowadza euforii, lecz wizje, tak realistyczne, że niewielu będzie je w stanie odróżnić od jawy. Na pewno przyda ci się bardziej niż ta zimna bryłka metalu.

Kwiat zakołysał się, jakby chcąc potwierdzić jego słowa. Do nozdrzy Liserel dotarł najłżejszy powiew ostrego, niemal zwierzęcego aromatu – dostatecznie dużo, żeby kontury otaczających ją przedmiotów zafalowały.

– To złudzenie! – wykrzyknęła z niedowierzaniem. – Jakaś chytra sztuczka!

– Skądże. To prawdziwy kwiat, niczym nie różniący się od twoich. Dotknij płatków. Powąchaj. Czy dobijemy targu?

Wyraz jej twarzy wystarczył za odpowiedź.

Żmij ostrożnie umieścił roślinę w rozcięciu szaty. Korzonki gładko wniknęły w alabastrową skórę. Liserel nawet nie westchnęła.

Cofał rękę, kiedy pozostałe kwiaty – jakby nagle przebudzone – wszystkie jednocześnie rozpostarły płatki. W powietrze z sykiem strzeliła złotawa mgła odorującego płynu. Zapach, który się rozszedł był tak intensywny, że sama Liserel poczuła lekki zawrót głowy.

Krzyczący w Ciemności spokojnie wyjął chustkę i starł z twarzy kropelki.

– Powinam się była tego spodziewać – stwierdziła melancholijnie. – Jesteś nieczuły.

– Raczej znieczulony – poprawił z uśmiechem. Pokazał ślady nakłuc na przegubie. – Może i jestem szalony, ale nie aż tak, żeby przed odwiedzeniem cię nie zażyć antidotum.

– Nie wiesz, co tracisz. – Koralowe spojrzenie na moment stało się zalotne. – Ofiarowuję doznania, wobec których nawet miłość jest niczym.

– Ofiarowujesz śmierć.

– Każdy kwiat musi kiedyś zwiędnąć. Żadna dusza nie ominie milczącej bramy. Ja tylko przyspieszam nieuniknione. Nawet srebrni to przyznają.

– Być może. Moja krew nie smakowałaby ci tak czy owak; jest trująca dla takich jak ty. Skażony talent, pamiętasz?

– Mam dziwne wrażenie, że zostałam oszukana. – Liserel już go nie słuchała, wpatrywała się w szkatułkę. – Co takiego kryje w sobie ów skorpion, że przybyłeś tu aż z Shan Vaola, żeby go zdobyć? Kto cię przysłał?

– Nikt albo, jeśli wolisz, słowo dane martwemu złodziejowi, który bardzo pragnie, żeby pomszczono jego śmierć. Co do medalionu, pamiętaj, że jest kradziony. Wierz mi, tylko oszczędzam ci kłopotów.

Wtem uniósł głowę, nasłuchując.

– Pora na mnie – stwierdził z napięciem w głosie. – Cóż, żegnaj, pani. – Skłonił się i zniknął w pół słowa – po prostu rozpląnął się w powietrzu, a wraz z nim medalion. Liserel wciąż jeszcze przecierała oczy, kiedy na dole załomotano do drzwi wejściowych.

4. Wysłannik Doliny Machin

– **O**dwiedził cię *ka-ira* – wycedziła Kalei ar Shiath, ledwie znalazła się w komnacie Liserel. – Na zatopioną twierdzę Kar-Sevher! Wciąż jeszcze cuchnie tu siarką. Wytłumacz się, wszeteczniczo!

– Z czego? – Liserel nie straciła zimnej krwi. – Mam prawo przyjmować gości, nie pytając, kim są! To raczej wy powinniście się tłumaczyć, wasza świetlistość. Bezprawnie wtargnęliście do mojego domu! Kto jest waszym przełożonym? Złożę skargę...

– Bezprawnie? To my jesteśmy prawem. Służymy srebru, zwalczamy czerń. Jeśli będziesz nas okłamywać, zostaniesz aresztowana pod zarzutem utrudniania

śledztwa. Kara za to wynosi pięćdziesiąt batów. – Kalei zrobiła pauzę, żeby podkreślić wagę swoich słów. – Mów, kto tu był i co za przedmiot stąd zabrał?

Liserel dopiero teraz popatrzyła na czarodziejkę. Wyprostowała się leniwie. Nagle okazało się, że jest wyższa od Kalei o dobre trzy głowy. Nietoperze skrzydła rozłożyły się. Sięgały od ściany do ściany. Kalei przełknęła ślinę. Za plecami miała pięciu Jednookich, ale z jakiegoś powodu wcale nie poczuła się przez to pewniej.

– Ile masz lat, świetlista? – Głos Liserel był słodki, jakby przemawiała do dziecka, lecz w koralowych oczach migotały iskry. – Dwadzieścia? Trzydzieści? Może czterdzieści pięć, jeśli sztucznie cię odmładzano? Wiedz, że ja mam ponad trzysta sześćdziesiąt. Widziałam rzeczy, o jakich ci się nie śniło: wojnę magów z wampirami oraz rzeź Kar-Sevheru, podczas której pociemniał księżyc. Twoje żalosne groźby obchodzą mnie mniej niż miauczenie kota. Jutro mogę zniknąć z tego miasta i ani ty, ani żaden z twoich konfratrów nie będziecie potrafili wyśledzić, dokąd się udałam. Odejdź i nie drażnij mnie! – Jej siedem kwiatów zasyczało chórem, wijąc się groźnie. Do melanzu woni unoszących się w komnacie dołączyła nowa, do złudzenia przypominająca zapach świeżej krwi. Kalei pospiesznie dała golemom sygnał do odwrotu.

Dopiero na ulicy uspokoiła się na tyle, żeby skontaktować się telepatycznie ze swoim przełożonym.

– Na co czekasz? – warknął Vandemus. – *Ka-ira* nie mógł umknąć, nie zostawiając śladów w astralu! Potrafisz iść za echem czarnych zaklęć, sam cię tego uczyłem! Ścigaj go!

– Nie jestem dość silna! – jęknęła.

– Skup się. Przekażę ci moc.

* * *

Wiedział, że nie ucieknie daleko. W mglistym chaosie pomiędzy sferami, gdzie pojęcia takie jak czas i przestrzeń traciły znaczenie, duch maga mógł poruszać się

swobodnie, lecz materialne ciało stanowiło zawadę. Wir na wpeł rozpoznawalnych barw dezorientował, a przeraźliwe zimno – dowód na bliskość zaświatów – paraliżowało. Krzyczący prawie przeoczył moment, kiedy naokoło zaślniła perłowa poświata – znak, że pościg jest blisko.

Skorpionik mógłby ci pomóc, pomyślał sarkastycznie. *Gdybyś miał czas wybadać, jak się go używa. Pięknie, Keare. Włożyłeś tyle trudu, żeby zdobyć klejnot, któremu Anselea zawdzięczała swoje zdolności... i zginiesz, nie nauczywszy się z niego korzystać. Takie jest życie.*

Mocno ścisnął w drętwiejących dłoniach bezużyteczny artefakt i przeszedł z powrotem do trójwymiarowego świata. Nie sprawdzał dokładnie, gdzie wylądaje; nie było czasu na takie drobiazgi. Zmaterializował się na porośniętym trzciniami bagnisku, wzbijając fontannę wody. Zbudzone ptactwo podniosło rejwach.

Ponowna dematerializacja nie wchodziła w grę, gdy przeciwnik był tak blisko. Nie pozostało nic innego, jak stawić mu czoła. Żmij spokojnie wyjął z cholewy nóż i wyszeptał odpowiednie słowo. Nóż stał się rapierem o ciemnej, jakby osmolonej klindze.

W sekundę później złotoczerwona smuga przecięła niebo i kawałek dalej pojawiła się kobieta w śnieżnobiałych szatach. Groźnie zamachała różdżką, z końca której sypały się skry.

Srebrne czary dosięgły żmija, ledwie zdążył przyjąć pozycję walki – rzucone zbyt szybko, ze zbyt małej odległości, żeby dało się je w pełni zablokować. Jak zwykle ból był większy od oczekiwanego. Krzyczący osunął się na kolana, ale nie upuścił broni.

Przeciwniczka zbliżyła się, szybując bez wysiłku nad powierzchnią wody. Jej oczy były zamknięte, rysy nieruchome; światło sączyło się spod powiek niczym płynna rtęć. Było jasne, że czerpie siły z zewnętrznego źródła – prawdopodobnie od innego maga. *Jeśli przerwę tę astralną pepowinę, która ich łączy...* Lecz miał za mało

czasu, żeby próbować. Adeptka srebra o tym wiedziała. Śmiało uniosła różdżkę, żeby zadać decydujący cios.

Żmij, wciąż na kolanach, sparował; potworny ból przeszył dłonie, jakby zostały przebite rozżarzoną do białości prętą. Ostrze rapiera zadymiło. Różdżka rozsypała się na tysiąc świecących drzazg. Czarodziejka na moment otworzyła oczy; odmalowało się w nich zdumienie i przestraszanie. Jej niewidoczny pomocnik nie stracił głowy. Krzyczący poczuł kolejne mentalne uderzenie; zbyt celne, zbyt potężne, żeby mógł je wysłać ktokolwiek poza Mistrzem Elity. Przed oczami żmija zawirowały czerwone kręgi. *Więc to tak wygląda umieranie.* Upadł w błoto, wypuszczając broń. Kręgi rozpląwały się wolno, przechodząc w aksamitną czerń.

– Medalion! – krzyknął niespodziewanie jakiś głos w jego głowie. – Głupcze, przecież ciągle masz go przy sobie! Wezwij imię Focalotha, a on cię ocali!

Majacząc, pomyślał zupełnie trzeźwo żmij. Na Zmroczę, niech to się nareszcie skończy. Jestem taki zmęczony...

– Co z tobą, Brune? Spiesz się, zaraz będzie za późno! Zawołaj: Focaloth!

– Focaloth – wyszeptał Krzyczący ostatkiem sił, wypluwając krew.

Nie zobaczył nic. Usłyszał ogłuszający huk, trzaski i czuł gorąco, z każdą chwilą większe. *Splonę...*

– Nie bój się – znów tamten głos.

Ktoś włókł go po ziemi. Dalej od płomieni.

Stracił na chwilę przytomność, a kiedy ją odzyskał, siedział na umiarkowanie suchym gruncie, oparty plecami o pień wierzby. Kilkanaście kroków dalej dymiło pogorzelsko. Zwłok czarodziejki nigdzie nie było widać. Nad mokradłami snuły się ciężkie sine kłęby, ale ten dym nie pachniał jak dym. Powietrze wypełniała przedziwna, mdląca woń – jakby bzu i padliny.

Medalion leżał nieopodal w błocie – stopiony w bezkształtną grudę. Żmij gwizdnął pod nosem. Zaczynał rozumieć.

– Focaloth – powiedział wolno. W odpowiedzi zabrzmiał gulgocący śmiech.

Demon wypełził z trzciny, oblizując się. W swojej naturalnej postaci przypominał nie tyle skorpiona, co olbrzymiego tłustego robaka z ludzką głową. Głowa miała na dolnej wardze purpurowe znamię, a zamiast uszu ptasie skrzydełka.

– Właśnie udusiłem pewnego potężnego maga w Yever Laren – oznajmił, mlaskając. – Niejakiego Vandemusa ar Isling. Nawet zażarcie się bronił... aż w końcu zmusiłem go, żeby połknął własny język!

– Bez detali, jeśli łaska. Po co wróciłeś?

– Po ciebie. – Demon zarechotał ponownie, patrząc, jak żmij niezdarnie usiłuje sięgnąć po broń. – No dobrze; do ciebie. Nie jadam *ka-ira*, przyprawiłbyś mnie o niestrawność. A do mojego pana mogę cię zabrać tylko pod warunkiem, że sam o to poprosisz.

– Co za ulga. – Krzyczący odchylił głowę w tył; krwawił z nosa. – Jak przypuszczam, nie potrafisz uzdrawiać równie sprawnie, co mordować?

– Przykro mi, stary. Uzdrawianie nie wchodzi w zakres moich kompetencji. W Dolinie Machin nie uczą takich rzeczy. – W wypukłych ślepiach Focalotha zatliły się kpiące światełka. – Na kopyto mego pana, rzeczywiście jesteś w kiepskim stanie! I pomyśleć, że wszystko zaczęło się od durnego poltergeista, co?

Podstawowa reguła w postępowaniu z demonami brzmi: nie dać się wciągnąć w rozmowę. Krzyczący z premedytacją ją złamał. Wiedział, że prędzej czy później dopadnie go senność – naturalna reakcja ciała na wyczerpanie energii życiowej – a nie wolno mu było zasnąć; przynajmniej dopóty, dopóki nie wstanie świt. Światło dzienne powinno osłabić demona na tyle, żeby odebrać mu chęć do wrednych sztuczek, przynajmniej w teorii; zaś póki trwała noc, żmij zamierzał czuwać. Poza tym bardzo chciał poznać odpowiedzi na kilka pytań.

– Obaj wiemy, że tak naprawdę wszystko zaczęło się dużo wcześniej. Powiadasz, że pochodzisz z Doliny Machin. Zdradzisz mi, jakim cudem dostałeś się w ręce Mistrzynie Elity?

– Natrafiła na mnie, egzorcyzmując opętanych na dworze pewnego króla, dokładnie sześćdziesiąt siedem lat temu. Tak jej przypadłem do gustu, że zamiast przepędzić, uwięziła mnie w swoim medalionie. Z biegiem czasu udało mi się ją przekonać, że jestem więcej wart jako towarzysz niż jako niewolnik. – Demon zachichotał. – Przez cały czas wierzyła, że mnie kontroluje; lecz w rzeczywistości to ja stopniowo przejąłem kontrolę nad nią... Hm, gdybym miał opowiadać wszystko, trochę by to potrwało. Chcesz słuchać dalej, zmiju? Masz siłę?

– Oczywiście.

Focaloth umościł się wygodnie wśród turzycy, tak blisko, że Krzyczący ledwie mógł oddychać od słodkawego odoru. Mimo wszystko obecność demona miała też pewne zalety. Od moczarów ciągnął ziąb, a robakowate cielsko Focalotha promieniowało ciepłem, jakby w żyłach demona płynęła lawa z jego ojczyzny.

Syn Doliny Machin okazał się gadatliwy.

– Na ogół toleruję ludzi tylko jako pokarm, ale z Ansełą było inaczej – zwierzył się, dłubiąc w zębach końcem ogona. – Doskonale się nawzajem rozumieliśmy. Byłem jej osobistym demonem, można rzec. Wspólnie dokonywaliśmy wielkich rzeczy! Te wszystkie wyczarowane potwory, zabójcze eliksiry, zatrute kosztowności... Lecz nawet sława najzręczniejszej skrytobójczyni nad Zatoką Snów to było za mało dla mojej Anselei. Ambicja – nienasycony pęd, by osiągać więcej i więcej – oto, co wydało ją w moje ręce. Tak zyskałem dostęp do jej duszy.

– Jak się skończył ten wasz... sojusz? Zabiłeś swoją przyjaciółkę?

– Skądże znowu! – Focaloth wyglądał na urażonego. – Czemu miałbym to robić? Lubiłem ją! Kiedy zmarła, osobiście wystarałem się o miejsce dla niej w Dolinie Machin. Mój pan ofiarował jej wysokie stanowisko, wyższe niż kiedykolwiek zajmowała w Elicie. Teraz jest demonessą z prawem do stałego przebywania w Otchłani i ręczę, że ma się doskonale.

– Jak to się stało, że po jej śmierci cię skradziono? Ktoś odkrył sekret osiągnięć Anselei i postanowił sam z niego skorzystać?

– Nie. Ona sama zleciła kradzież, gdy poczuła, że jej czas w materialnym świecie dobiega końca. Wspólnie doszliśmy do wniosku, że będzie najlepiej, jeśli trafię niejako w obieg i znów zacznę sam zdobywać dusze dla mojego pana.

– Czemu akurat w taki sposób? Czemu nadal mieszkałeś w medalionie?

– Żeby przebywać w materialnym świecie, muszę mieć właściciela. To takie dziwne prawo, którego muszę przestrzegać. Jedna Zmrocza wie czemu.

– Mam rozumieć, że chwilowo to ja jestem twoim właścicielem?

– Jak najbardziej, choć widzę, że z medalionu niewiele zostało. Szkoda; byłem do niego bardzo przywiązany. My z Doliny Machin mamy sentyment do kosztowności. Zanim poznałem Anseleę, moim domem była piękna brylantowa kolia; wszystkie dwórki uwielbiały ją przymierzać, mogłem przebierać w duszyczkach jak w ulęgałkach... – Focaloth cmoknął, rozmarzony. – To też były szczęśliwe czasy. Teraz moja kolej o coś spytać, zmiju. W jaki sposób wpadłeś na trop medalionu?

– Dzięki duchowi złodzieja. Chciał, żeby ktoś pomścił jego śmierć. Zaofiarował, że odplaci przysługą za przysługę. Zdradził mi, że najcenniejszy spośród przedmiotów skradzionych z wieży Anselei znajduje się w Yever Laren, w posiadaniu Liserel. Nie powiedział jednak całej prawdy, bo nie wspomniał ani słowem o tobie. Zasugerował jedynie, że chodzi o potężny talizman, którego srebrni magowie bezskutecznie szukają, bo nie sposób go wyśledzić za pomocą zaklęć. Uznałem, że gra jest warta świeczki, i wybrałem się do Yever Laren. Interesują mnie talizmany.

– Także takie, które wcześniej były w posiadaniu Mistrzów Elity? Musisz być zdolny, chłopcze. Może zawarlibyśmy pakt? Potrafię być wiernym współnikiem. Nie pożałowałbyś, tak jak nie żałowała Anselea... Hę?

– Nie ma mowy. Jako twój właściciel ofiaruję ci jutro jeszcze jedną duszę, a potem wrócisz kulturalnie do siebie. Nic osobistego; po prostu nie lubię, kiedy pomioty Otchłani włączają się po ziemi.

– Jesteś pewien? Wierz mi, mam sporo do zaoferowania. Bogactwa, sławę... kobiety...

– ...szaleństwo i bolesne konanie. Nie mnie ci zwodzić, śliski draniu. Opowiadaj dalej. Co się z tobą działo po tym, jak żołnierze Elity zabili złodzieja? Dużo dusz zdobyłeś między Anseleą a Liserel?

– Tylko jedną – westchnął Focaloth. – To bodaj najmniej ciekawa część mojej historii. Wpadłem w łapy obdzieraczy trupów. Od nich odkupił mnie pewien szlachetka. Nie spodobał mi się, więc wzbudziłem w nim pociąg do kart, tak że po paru dniach przegrał mnie po pijanemu w oberży, na trakcie między Shan Vaola i Tay. Dostałem się zawodowemu szulerowi. To był wcale ciekawy typ – cwaniaczyna pozujący na arystokratę, odziany w brokaty, lecz z pustymi kieszeniami, wciąż rozglądający się za łatwym zarobkiem. Okazał się nie w ciemię bity...

– Zaraz, a co się stało ze szlachetką?

– Bardzo mnie zawiódł. Miałem nadzieję, że gdy po wytrzeźwieniu odkryje pusty trzos i długi do zapłacenia, powiesi się. Niestety, okazał się zbyt tchórzliwy. Wymknął mi się o włos. Z szulera miałem więcej pożytku. Wydedukował, do kogo może należeć medalion w kształcie skorpiona i postanowił go zwrócić srebrnym magom, licząc na sowitą nagrodę. Cóż, przeliczył się. Zanim dotarł na Wyspę Skorpionów, na głównej ulicy Yever Laren ujrzał przypadkiem powóz Liserel. Sprawilem, że zapragnął poznać ją bliżej... Wiesz, co było potem.

– Wiem. – Krzyczący ziewnął, z trudem unosząc opadające powieki. Niebo nad mokradłami zaczynało szarzeć. Przypomniawszy sobie, że w kieszeni nadal ma woreczek z brunatną trucizną. Zwalczył pokusę, żeby zapalić. – A czemuż to z Liserel nie poszło ci równie gładko, co ze wszystkimi innymi? Zamknęła cię w szkatułce i siedziałeś tam potulnie jak mysz pod miotłą!

– Nie doceniasz mnie, przyjacielu. Nie muszę działać szybko, żeby dopiąć swego. Liserel jest odporna, w jej żyłach płynie bądź co bądź krew pradawnego skrzydlatego plemienia... ale i tak uległaby mi w końcu. Wszyscy ulegacie. – Demon wyszczerzył zęby. – Ten świat to jarmark, przyjacielu. Korowód głupców. Naiwne dziewczęta pragną być ubóstwiane, artyści łakną sławy, politycy władzy; prosty lud śni o krainie obfitości, gdzie z nieba kropi miód i kiełbasy rosną na drzewach... No, a nam w Otchłani to wszystko w graj. Rośniemy w siłę z każdym dniem, żerując na ambicjach, słabościach, marzeniach...

– Ja ci pozeruję, cholerny astralny pasożycie. Lepiej przyzwyczaj się do myśli, że jutro wracasz do swojej Doliny.

– Nie bądź no taki śmiały – syknął Focaloth; sploty jego ciała gniewnie zafalowały. – Na ciebie też znalazłbym haka. Nie zależy ci na złocie? Nie lubisz dziewcząt? Chłopców też nie? Nie marzysz o tym, żeby zostać najpotężniejszym czarnym magiem nad Zatoką Snów? To może o przyjaciółach? Rodzinie? O twarzy bez blizn?

– Po pierwsze przestań mnie obrażać. Po drugie – nudzisz. Po trzecie, nie wiem czy zauważyłeś, ale robi się jasno.

– Zauważyłem. Jeśli mam być szczery, nie rozumiem, czemu jeszcze tu tkwisz. Tylko rozkaż, a przeniosę cię z powrotem do twojego miasta, albo w dowolne inne miejsce.

– Nie. Poczekasz grzecznie, aż się prześpię i odzyskam siły na tyle, żeby przenieść się samodzielnie.

– Jak sobie życzysz, właścicielu. – Focaloth udał, że pokornie się kłania.

* * *

Kręte białe schody wiodły w dół do podziemnych koszar, gdzie stacjonowali Jednoocy. Wyjście na powierzchnię znajdowało się niedaleko starego rynku i miało postać okrągłej kamiennej budki, z daleka przypominającej obmurowaną miejską

studnię. Tylko wykuty nad wejściem pentagram zdradzał jej prawdziwe przeznaczenie.

W oddali, nad poszarpaną linią dachów niebo nabierało błękitnej barwy. Sierżant Vaimer stał oparty o ścianę budki, pobrzękując pękiem kluczy. Czekał, aż ostatnia grupa golemów wróci z patrolu.

To była pracowita noc. Słudzy Elity rozpędzili nielegalny wiec odmieńców, złapali i zakuli w dyby wicherzyciela podburzającego tłum na Placu Fontann oraz pospołu ze strażnikami miejskimi urządzili nalot na podziemne targowisko Loss Fomar, żeby zgarnąć handlarzy oferujących zakazane czarodziejskie mikstury. Vaimer brał udział we wszystkich trzech akcjach. Teraz zmęczenie, od którego zeszywniały mu mięśnie i ciążył rynsztunek, mieszało się z miłym uczuciem satysfakcji. Służył srebru. Wykonywał rzetelnie swoją pracę. Działał na rzecz społecznej harmonii i ładu.

Wschodzące słońce oświetliło ozdobne frontony kamieniczek, zamigotały pozłacane herby i znaki cechowe. Od strony rynku dobiegły pierwsze pokrzykiwania kramarzy. Stróże odmykali bramy. Przenikliwy dźwięk trąbki obwieścił otwarcie rogatek. Vaimer przymknął oczy i słuchał, jak miasto – jego miasto – beztrosko wita kolejny dzień.

Wszyscy ci prości, pracowici ludzie nie mieli pojęcia, ile wysiłku Elita wkłada w bronienie ich przed złem. Vaimer nigdy nie miał do nich żalu o tę nieświadomość, a tym bardziej nie oczekiwał, że docenią jego pracę. Co zwykli mieszczanie mogli wiedzieć o odwiecznym konflikcie jasności z mrokiem? Ich świat kręcił się wokół handlu suknem i zbożem.

Vaimerowi starczyło, że sam znał wagę tego, co robi.

Pogromca czerni. Na straży Ekwilibrium...

Jakiś szmer za plecami przerwał jego rozmyślenia. Sierżant odwrócił się. Tuż za nim stał człowiek w czarnym odzieniu. Vaimer nie zdążył sięgnąć po broń, nie zdążył nawet krzyknąć. Poczul kłujący ból w skroni, drętwienie mięśni i pojął, że znalazł się

pod wpływem czarów. Zaciskając zęby, przywołał ćwiczone latami umiejętności i odepchnął mentalnie napastnika, zanim zaklęcie na dobre nabrało mocy. Ból zelżał. Czarno ubrany wywinął się zręcznie, unikając ciosu pięścią, ale Vaimer też potrafił być szybki. Celny kopniak odrzucił tamtego pod mur; sierżant był pewien, że usłyszał trzask żeber. Nie na wiele się to zdało. Skażony czar jednak działał. Klucie w skroni pojawiło się znowu – dziesięć razy silniejsze. Vaimer zatoczył się. Gdy upadał, pod powiekami eksplodowało mu tysiąc gwiazd.

Ocknął się w podziemnym przejściu, ze związanymi rękami. Na języku czuł metaliczny smak krwi. Wróg stał obok, a wokół gęstniało coś przypominającego siny dym.

– Chodź, żołnierzu – powiedział z uśmiechem *ka-ira*. Niepojęta siła szarpnęła Vaimerem jak marionetką.

Korytarzem w dół. Zimno. Lepkie strzępy pajęczyn lgną do twarzy.

– Poznajesz, gdzie jesteśmy?

Tam. Na kamiennych płytach – brunatna, zaschnięta plama.

– Niech wszystko skończy się właśnie w tym miejscu. Klęknij, żołnierzu. I zmów modlitwę, jeśli jakąś znasz.

Z sinych pasm uformowała się istota. Vaimer widział ją niewyraźnie – łzawiły mu oczy. Z nosa zaczęła kapać krew. Poczł zapach bzu i padliny... Zrozumiał.

– Daję ci go, demonie. Dalej, zaspokajaj głód.

Śmiech. Wielki robakowaty kształt przybliżył się; i gorąca fala wzbiera zniecka w gardle, dławi...

Focaloth z lubością wciągnął w nozdrza woń ofiary. Nadał policzki i wydmuchnął kłęb sinej śmierci. Sierżant, już na kolanach, jęknął, zakołysał głową. Opary otoczyły go, oplotły jakby kokonem. Na skórze twarzy i rąk utworzyły się czarne, nabrzmiewające szybko pęcherze. Pękały jeden za drugim, uwalniając krwawą wydzielinę. Vaimer już nie jęczał – wył jak zwierzę. Krzyczący zasłonił uszy, żeby nie słyszeć tego wycia. Potem odwrócił głowę. Demon pożywiał się dalej.

Potrwało chwilę, zanim nieszczęśnik ucichł.

Kiedy żmij ponownie spojrzął w tamtą stronę, nie zobaczył ciała. Kilka ledwie rozpoznawalnych strzępków odzieży, nadtopiony kawałek metalu, jakiś ciemny zaciek – oto, co pozostało.

Lewitujący pod sklepieniem Focaloth wyglądał na ukontentowanego.

– Nie jesteś taki twardy, za jakiego chciałbyś uchodzić, co, chłopcze? – Mrugnął kpiąco. – Dobrze, dobrze, żartowałem, nie złość się. Otwórz mi lepiej wrota. Zdążyłem zatęsknić za domem.

Żmij, szepcząc odpowiednie słowa, nakreślił dłonią okrąg w powietrzu. Lodowaty podmuch oraz dźwięk podobny do zgrzytu zawiasów były znakiem, że zaporą między światami rozsuwa się.

– Jesteś wolny, pomioście Otchłani. Idź i nie wracaj.

– Chodź ze mną – zaproponował raz jeszcze Focaloth. – Władca Doliny Machin będzie zachwycony, mogąc cię poznać.

– Dziękuję, przyjacielu, nie skorzystam. – Krzyczący przezornie cofnął się na bezpieczną odległość.

– Na pewno? Słuchaj, Keare, przysięgam, że mój pan jeszcze się o ciebie upomni. Potrzeba nam takich jak ty.

– Daruj sobie.

Demon wyszczerzył zęby.

– Uparty jesteś, co? Nie martw się, znajdziemy sposób, żeby cię zachęcić.

– Gadaj zdrów, Focaloth. Raz już odwiedziłem Otchłań. – Żmij dotknął szram na policzku. – Nie podobało mi się tam, więc tym bardziej nie zamierzam wracać. Tyle.

– Nie, to nie – parsknął lekceważąco demon. – Kiedyś pożałujesz, żeś nie skorzystał, póki zapraszałem po dobroci. Na razie, durniu.

Machnął ogonem i zniknął w rozbłysku szkarłatnego światła.

5. Niebieskooka

Około południa nad Shan Vaola ponownie nadpłynęły ciężkie chmury. Lunał deszcz i powiał porywisty wiatr. Ulice opustoszały. Górne poziomy Podziemi zasnuł śmierdzący dym; niemalże na każdym rogu bezdomni kulili się wokół płonących kup śmiecia niczym ponure, nastroszone ptaszyska. Straż miejska nawet nie próbowała ich przeganiać.

We wnęce za straganem cukiernika Łzypączka było wilgotno, lecz ciepło; szczury gmerały w odpadkach i gęsto plenił się fosforyzujący mech. Troje uliczników, przycupniętych w kącie pod skradzioną baranicą, nie zareagowało, kiedy w ich schronieniu pojawiła się czwarta, obca osoba. Normalnie chwyciliby za noże; lecz tym razem instynkt ulicy nie zadziałał, i nawet ich wyostrzone zmysły nie ostrzegły, że coś jest nie w porządku. Nie stawiali oporu, kiedy obca jaźń wśliznęła się miękko do ich głów.

Trzy młode umysły były jak jałowa ziemia, naszpikowana odłamkami szkła; głodne, gniewne, nieskomplikowane. Całkiem zadowolający łup dla zmęczonego *ka-ira*.

Krzyczący w Ciemności mógłby wyssać ich doszczętnie, zmienić w roślinki, ale nie zrobił tego. Potrzebował tylko odrobiny siły życiowej, doprawionej negatywnymi emocjami. Kiedy już dostał, co chciał, sprawił, żeby ofiary zapadły w sen. Potrzebował też spokoju.

Wyjął nieodłączną lufkę i woreczek pełen brunatnych grudek. Poobijane zebra bolały, a opium znieczulało lepiej od magii.

Oparł głowę o mur, wdychając głęboko słodki dym. Po ciele stopniowo rozlało się ciepło; dźwięki – szurze szelesty i smyrkania, odległy tupot stóp, wrzaski cukiernika, kłócaącego się z klientem – zlewały się w uspokajający szum. Czarna siła, wzmocniona niedawnym czerpaniem, przyjemnie pulsowała w żyłach. Było dobrze.

I nagle, bez ostrzeżenia harmonia została zburzona. Przestrzeń złożyła się i rozłożyła ponownie – niczym skrzydła motyla. Loch zniknął. Naokoło jak okiem sięgnąć rozpościerała się szarawa pustynia, z której gdzieniegdzie sterczały zwęglone kikuty drzew. Żmij stał na szczycie wydmy; nad głową pełzły ocieźale brzuchate, połyskujące metalicznie granatowozielone chmury. Popatrzył po sobie. Ubranie, ręce, nawet włosy pokrywała warstwa popiołu. Wzdrygnął się. Na Zmroczę! Nie miał w zwyczaju odurzać się na tyle mocno, żeby zupełnie zatracić kontakt z rzeczywistością. Zanieczyszczony towar? To już prędzej...

Wtem spostrzegł, że nie jest sam. Obok, odwrócona plecami, stała postać odziana w luźne, postrzępione szaty, szare jak wszystko wokół. Krzyżący chwycił ją za ramiona i siłą odwrócił ku sobie. Spodziewał się, że ujrzy widmo, kościotrupa – zagnieżdżony głęboko w podświadomości archetyp Śmierci. Mylił się. Spod obszarpanego kaptura bystro, kpiąco spojrzały zmrużone niebieskie oczy. *Demonicznie niebieskie*, pomyślał tępo; przekłete opium nadal go ogłupiało.

Wyglądała jak młoda żebraczka, lecz coś w jej spojrzeniu przeczyło temu obrazowi.

– Naprawdę nie wiesz, gdzie jesteś? – Uniosła brwi. – Mnie też nie poznajesz?

– Nigdy nie zapominał twarzą, dziewczyno – odparł wolno. – Nie wiem, kim jesteś. A ty mnie znasz?

Zaśmiała się figlarnie.

– I owszem, Brune. Nie tak dawno temu byłam blisko, na wyciągnięcie ręki... ratując twoje mizerne życie. Zapamiętałbyś mnie, gdyby srebrne zaklęcia cię nie oślepiły. Ale nie martw się, na pewno jeszcze się spotkamy. Mam nie spuszczać cię z oka; tak mi rozkazano.

– Kim jesteś? – powtórzył, głośniejszym niż zamierzał. – Komu służysz?! – Chciał chwycić ją za rękę, ale usunęła się w porę i dalej mierzyła go kpiącym wzrokiem.

– Sądziłam, że łatwiej ci przyjdzie zgadnąć. Otchłań ma wiele kręgów i wiele oblicz, zapomniałeś?

– Nie zapomniałem – mruknął. Miejsce irytacji zajął niepokój. – Więc Otchłań znowu się o mnie upomina? Nie znudziło się wam?

– Przestań drwić! – Niebieskie oczy błysnęły. – Kusiciel z Doliny Machin próbował cię podejść. Bardzo dobrze, że odrzuciłeś jego ofertę. Oszukałby cię i pożarł. Na przyszłość nawet nie wdawaj się w takie rozmowy. Władca Doliny Popiołów nie lubi nielojalnych. Być może tego nie pamiętasz, ale niegdyś przysięgałeś mu wiernie służyć aż do śmierci; i po śmierci też. – Zbliżyła się znienacka, szybko, płynnie jak wampir. Zanim zmij zdążył się cofnąć, szczupłe ramiona objęły go za szyję. Poczł coś – nie pocałunek, raczej lodowate uklucie – i świat zakręcił się w popielistym wirze.

– Jesteś nasz – zabrzmiał pośród szarości jej głos; czy raczej wiele głosów. – Zawsze będziesz nasz!

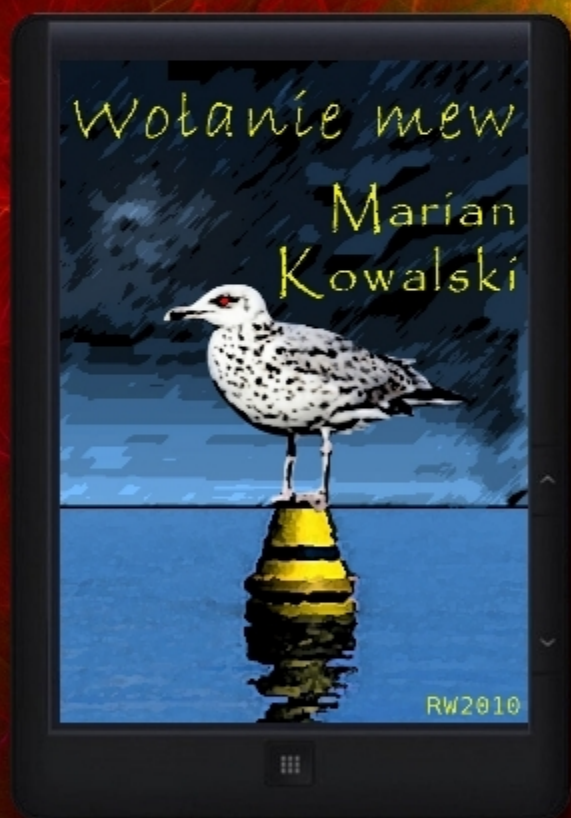
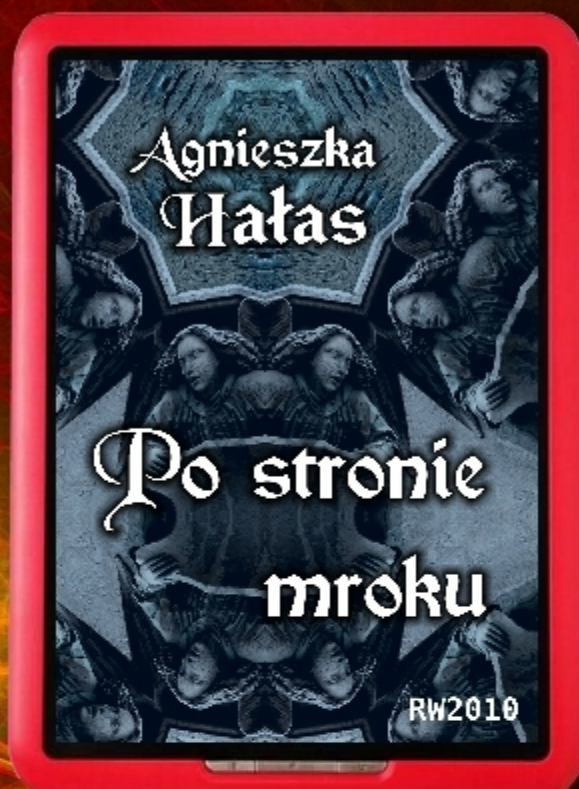
Ocknął się zlany zimnym potem. Półprzytomnie dotknął twarzy. Blizny na policzku otworzyły się. Koszulę z przodu miał moką od krwi.

Autorka zaprasza na blog: <http://halas-agn.blogspot.com>. Znajdziecie tam miniartykuły z dziedziny magii, alchemii i historii medycyny, zdjęcia przyrody i zabytków, wiersze oraz inne ciekawe rzeczy.

Oficyna wydawnicza **RW2010**

**Na każdą kieszeń
na każdy czytnik**

**Pieć ma wiele obliczy, a wszystkie one
stanowią część planów Stwórcy.
Dwanaście opowiadań połączonych
wspólnym motywem Szeolu zabierze
was w podróż przez różne czasy i
miejsca – od współczesnej codzienności
po rubieżę zaświatów.
Zachowajcie czujność.
Demony czyhają.**



**Powieść obyczajowa z wątkami
thrillera i fantastyki. Przedstawia
losy celebrytki i modelki Ingi Bral
wpisane w ponurą morską legendę o
mewach z duszami topielców.**

**Dobre ebooki
w dobrej cenie
szukaj na
www.rw2010.pl
lub w e-księgarniach**

RW2010

REWOLUCJA WYDAWNICZA!